№ 12 WARSZAWA, DNIA 22 MARCA 1913 ROKU ROK III

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.



ZMARTWYCHWSTAŁ PAN.

Zmartwychwstał Pan.

W wiosenny dzień
Od niebios bram
Radosna wieść dolata:

Zmartwychwstał Pan
Na radość nam —
Zmartwychwstał władca świata!

Zwyciężył zło
I grobu noc
Rozkazem Swojej siły:

Chorągwi Swej
Okazał moc —
Do chwały wstał z mogiły...

Daremnie wróg
Grobowca strzegł,
Daremnie stawiał straże:

Promienny blask
Gdy na nich legł,
Oślepły oczy wraże...

Na cały świat
Chorągwi szum
Zwycięskiej wnet pobieży —

I wstąpi duch
W zmęczony tłum,
Przeleci powiew świeży...

I wstąpi moc
Do serca tych
Co żyją w troskach, męce,

Położy Pan
Na duszy ich
Błogosławiące ręce...

K. Wołyńska.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

Tymczasem kiedy przyszła kolej na czytanie pasji, pleban począł ją czytać po swojemu: jak huknął „Quem queritis?" to aż cały kościół zadrżał. Ale jak trzeba było odpowiedzieć: „Jesum Nazarenum", to mówił najciszej jak mógł. W ten sposób szła dalej ta pasja.

Pani się zdziwiła, bo jak na niewiastę, nieźle się znała na tych rzeczach. Ale nic, słuchała do końca, choć coraz jej

się gorzej wydawał taki sposób czytania. Żacy także spoglądali jeno na siebie z podziwem, bo nigdy tego nie słyszeli: zawsze Chrystus mówił cicho w pasjach, a żydzi głośniej.

Kiedy nabożeństwo się skończyło, ksiądz zapowiedział przedstawienie i niemało go to cieszyło, że będzie na niem miał takich słuchaczy możnych.

Przecisnąwszy się przez tłum do grobu, wszystko raz jeszcze obejrzał, sprawdził że wszyscy są, i dał znak, aby zaczynano.

Z żaków jeden tylko Pietrek miał grać, bo się bardzo napraszał i mówił, że u siebie w swojej parafji grywał. Wczoraj bardzo mu się spodobała rola djabła. Djabłów, którzy mieli Judasza porywać, było już kilku, ale widząc Pietrka ochotę, dozwolił mu pleban przyłączyć się do nich i pokazać, co potrafi.

Stach i Hieronim umieścili się blizko sceny i patrzyli, z wielką przyjemnością czekając na widowisko i na zjawienie się Pietrka.

Wtem na scenę wyszło dwu grających, jeden przedstawiał Jezusa a drugi Marję. Żegnali się ze sobą w Betanji, Jezus miał pójść do Jerozolimy na Paschę.

M a r j a. Synu jedyny, anielskie kochanie,
Dokąd się śpieszysz, Żydom na wy-
[danie?

J e z u s. Wiesz Matko miła, wiesz z Ducha
[Świętego,
Iż mam wypełnić wolę Ojca mego.

M a r j a. Masz tysiąc, Synu, sposobów zbawienia,
Swój lud odkupić, z Bogiem zjedno-
[czenia.

J e z u s. Ten, Matko, sposób od wieków przej-
[rzany,
Przez ten gniew Boski będzie ubła-
[gany.

M a r j a. Baranku cichy, synaczku kochanie,
Nie daj się wilkom srogim na szarpanie.

J e z u s. Matko kochana, Matko ulubiona,
Luboć ma dusza smutkiem przerażona,
Przyjdzie mi jednak dla człeka miłości
Dać swoje ciało podrapać do kości.

M a r j a. Możesz się schronić od złośliwej ręki,
Jakoś kamiennej niegdy uszedł męki.

J e z u s. Uszedłem Matko, lecz była przyczyna:
Wtenczas nie przyszła mej śmierci go-
[dzina.

Tak oni mówili. Matka błagając, a Jezus łagodnie jej odmawiając. Tłum w kościele słuchał i nie zwodził z nich oczu. Tylko westchnienia ciężkie podnosiły się, bo byli to ludzie biedni, chłopi i inni ubodzy i słabi, którzy znali jak okrutne i srogie jest życie i dobrze rozumieli mękę tych dwojga na scenie. A ci grali dobrze: śliczny chłopiec grający Marję miał łzy w oczach, tak się przejmował, a ów, co grał Jezusa, ściągał brew i mówił spokojnie i nieulękle, jakby szedł na prawdziwą śmierć, i choć bladł, strachowi ani wahaniu nie ustępował.

Po tem pożegnaniu w Betanji, następowała część druga i nowi aktorzy wystąpili przed grób.

Byli to dziwnie i wspaniale przybrani arcykapłani i rabini żydowscy. Ci rozpoczęli naradę, jak postąpić wobec Chrystusa, który lud burzy a im się opiera. Z zajęciem słuchali widzowie tej krótkiej narady, gdy wtem przecisnąwszy się między najbliższymi sceny słuchaczami, wszedł między rabinów straszny i dziwnie ubrany aktor w rudej, długowłosej peruce na głowie, z sakwą przez plecy i kijem w ręku.

Był to Judasz, i nim się odezwał, już go wszyscy w kościele poznali. Teraz skłoniwszy się, przedstawił się rabinom:

Jam jest apostoł Judasz, ze dwunastu owych
Niezbożników, albo też uczniów Jezusowych,
Który mnie swem kuglarstwem przywabił do siebie,
Obiecując zapłatę kiedyś tedyś w niebie.

A mnie co tam do nieba! czekajże ty nieba!
A teraz klep z nim nędzę, nie jadaj i chleba.
Tylkośmy w Galilejskiej Kanie mieli gody,
Raz pić i jeść: a teraz na każdy dzień głody.

Potem za 30 srebrnych groszy obiecał im pomódz w ujęciu Chrystusa.

Ze zgrozą patrzyli na to widzowie, jakby o tem pierwszy raz słyszeli. Teraz ucieszeni rabini posłali po wojsko, które tuż stało w postaci sześciu chłopaków z dzidami. Ci odeszli razem z Judaszem, rabini usunęli się, a na scenie zaczęła się część trzecia. Wystawiono krzyż, do którego uwiązany był chłopiec przedstawiający Jezusa. Marja i niewiasty, stojąc pod krzyżem żałośnie płakały i narzekały. Marja mówiła:

Synku, bych cię nisko miała,
Nieco bych ci wspomagała,
Twoja głowa krzywo wisa, tąć bych ja podparła,
Krew po tobie płynie, tąć bych ja utarła,
Picia wołasz, picia bych ci dała,
Ale nielza dosiądz Twego świętego ciała.

Te słowa były wzięte z dawnych misterjów i wszyscy je znali tak dobrze jako i pacierz.

Tu aniołowie poczęli śpiewać: „Stała Matka boleściwa".

Było to miejsce najsroższe z całego widowiska. Tymczasem nadszedł Józef z Nikodemem, których przedstawiali dwaj poprzedni żołnierze. Bardzo szybko odwiązali ukrzyżowanego i wśród lamentu niewiast i śpiewu aniołów, wzywając widzów do skruchy i żalu, złożyli go do grobu.

Wszystko to szło bardzo szybko i trwało nie więcej jak godzinę. Teraz nastąpiła wielka scena z Judaszem, bez której nikt by nie odszedł, i nie uwierzył, że widowisko naprawdę skończone.

Rudy Judasz znów się pojawił na scenie, ale zgnębiony i zrozpaczony.

Nieszczęśliwa godzina! bogdajże mię była
Pierwej straszna piekielna mara udawiła,
Niźli do tego przyszło: wszak mam powróz [w ręku,
Zawadzę nim o gardło już do lada sęku.

Wtem zewsząd wpadły djabły, a po zwartej ciżbie widzów przeszło pełne zadowolenia i podziwu szemranie. Djabli, bardzo dobrze przebrani, z rogami, z ogonami, z widłami w rękach, z ogromną ochotą i sprawnością rzucili się do dzieła. Jedni Judaszowi podsuwali powróz, drudzy wyprawiali w koło dzikie skoki, aby nastraszyć trochę widzów. zwłaszcza młodszych i głupszych.

Djabeł starszy wołał:

A witajże Judaszu, nasz stary satana!
Jak ci to przyszło na to? Pocoś zgubił Pana?
A jużeś zdechł Judaszu? Czyli jeszcze żyjesz?
Jeśliś omdlał, tej smoły trochę się napijesz!

Stach i Hieronim odrazu poznali między djabłami Pietrka, choć miał maszkarę na sobie okropną, rogi czarne na łbie, ogon z zakręconego powrósła z kitą z wiórów umaczanych w smole na końcu i wielkie widły w ręku, a skakał tak rzeźko i ostro, i tyle broił, co żaden z djabłów.

Tym razem była to już ostatnia scena, i gdy wyszedł epilog, i zakończył przedstawienie krótkim wierszem:

A teraz wam dziękujem za to zgromadzenie,
Niech wam będzie Jezusa męka za zbawienie.

Widzowie ruszyli się i poczęli tłumnie wychodzić. Żacy i chłopcy mieli dużo do roboty, aby wszystko po przedstawieniu złożyć; ale widząc, że zbyt przytem dokazują i broją, pleban wszystkich odesłał precz, a sam został tylko z trzema wędrownymi żakami, nad którymi stał, pilnując czy dobrze składają.

Tymczasem pani wyszedłszy z kościoła, odeszła ze swoimi ludźmi do karczmy, gdzie stanęła dworem przejeżdżając. Ale wnet przysłała po księdza. aby przyszedł, że chce z nim pomówić.

— Ano!—rzekł ksiądz,—niewiasta bogobojna, a dobrem doczesnem pobłogosławiona...

I wraz się zebrał, rzuciwszy okiem czy żacy porządnie wszystko złożyli. Poszedł, a chłopcy za nim.

Weszli do karczmy, gdzie tłoczyła się ciżba ludzi. Pani siedziała przy stole zasłanym biało lnianymi obrusami. Ledwie ujrzała plebana, rzekła:

— Tragedja wielce mi się podobała, i dobre o niej mieć musiałeś staranie, i pilność, ale gdzieżeś to jegomość tak się nauczył mszę odprawiać? I to na taki dzień jako dziś, kiedy lud wszystek powinien być w świętej pokorze i prawie w prochu się kajać? Aliści słysząc mszę jako jegomość ją odprawiasz, niema tak mocnej pobożności, by szkody nie odniosła.

— Jakże to jejmość?—spytał pleban.

— Jakto!—pani na to,—pasjęś mówił na wspak temu, co dobry obyczaj nakazuje. Kiedy Pan nasz, Jezus Chrystus mówi, wrzeszczysz by w lesie, a kiedy Kaifasz, albo Piłat, albo żydzi, to szepczesz by panna młoda. Takli to być powinno? Takto ma proboszcz czynić? Sprawiedliwieby uczyniono, gdyby ci tę plebanię odjęto, a samemu, jako srodze błądzisz jaśnie ukazano.

Kiedy pleban wysłuchał jej do końca:

— To jest, coś mi powiedzieć miała jejmość? — rzekł. — Na mą duszę, jakoże to prawdę powiadają, iż wiele ludzi jest, którzy o rzeczach radzą, co ich ani kęs mało nie rozumieją. Zda mi się, że umiem officja tako dobrze jak i każdy inny, i chcę, iżby wszyscy wiedzieli, że Panu Bogu tako dobrze służę w tej parafii, wedle jej stanu, jako i w jakiejbądź innej o sto mil stąd. Wiem ja to dobrze, że inni plebani śpiewają pasję całkiem inaczej i łatwieby mi było śpiewać ją jak i tamci, bym jeno chciał. Ale oni to błądzą, nie ja. Bo zważ: godziż się to, by zdrajcy żydzi odzywali się tako głośnie, jak pan nasz Jezus Chrystus? Nie, nie! dobrze to sobie jejmość zapisz, że w mojej parafii jeno Pan Bóg sam ma być panem i będzie, póki mego życia. Inni u siebie niech się rządzą, jako im się zda...

Pani to usłyszawszy, nie wiedziała zrazu, co rzec. Dała mu spokój, rzekła tylko:

— Prawdziwie, jegomość nie w ciemię bity, i dobrze mi to powiadano. Alebym nie uwierzyła, bym sama nie widziała.

Potem zaprosiła go na śniadanie. Wnieśli zaraz wielkie misy z grochem na oleju i gotowanemi rybami. Pani, że była dobra gospodyni, dostrzegła trzech żaków za plebanem i kiwnąwszy na nich, spytała.

— A wyście co za jedni?

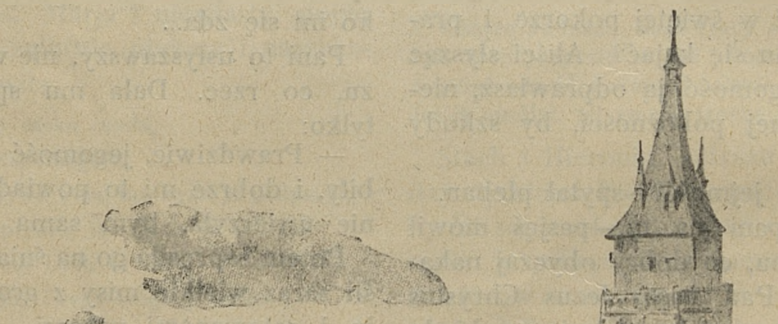
— Do Krakowa na naukę idziem — rzekł Pietrek.—Żacy jesteśmy.

— Ejże,—odezwał się starszy dworzanin, — czy to nie te pacholęta, o które wczoraj tak się dopytywali dwaj jezdni? „By do Krakowa", powiadali, „a gonić ich będziem, póki nie schwytamy".

(D. c. n.).

Marzec w życiu ptaków.

Choć w końcu tego miesiąca śniegi zimowe można już widzieć tylko w miejscach, do których słońce, teraz jaśniejsze ciwszy, nie mogą znaleźć dostatecznego pożywienia. Oto największy z tych podróżników, bocian, wrócił wprawdzie



Bociany.

i weselsze, nie dochodzi, jednak na ziemi jeszcze czarno i pusto. Jest też to czas najtrudniejszy do przetrwania dla ptaków, które nie porzucały nas na zimę, lub wró- z wędrówki, lecz kto wie czy nie będzie musiał przydłuższym postem odpokutować za swój wczesny powrót: żaby siedzą jeszcze na dnie wód, chyba tylko jaka nieo-

strożna myszka może stać się jego łupem. Szczególnem jest, iż w wielu stadłach bocianich zaobserwowano fakt, iż samiec wraca wcześniej i nie tracąc czasu, zabiera się do naprawy gniazda, poczem zasiadłszy na niem, wyczekuje swej towarzyszki, klekocząc rozgłośnie.

Przeważnie jednak pary bocianie wracają razem i oboje krzątają się około gniazda, uszkodzonego często przez wichry jesienne, znosząc nowe gałązki.

Dawniej ptak ten cieszył się bezwzględnym szacunkiem i sympatją ludzką, lecz z największemi zarzutami spotkał się niezbyt dawno ze strony myśliwych. Ustalono, że jest to żarłok i kłusownik zawołany, który nie odróżniając jadowitej żmiji lub szkodliwej myszy od niewinnych młodych zajączków lub przepiórek i kuropatw, tępi wszystkie z jednakową zaciętością. A pożyteczne żaby, czyż nie mają w nim zawziętego wroga? Lecz w obronie jego stanęli rolnicy, dla których bocian jako tępiciel myszy polnych, pędraków i różnych szkodliwych stworzeń, jest cennym pomocnikiem.

Ostatecznie w większej ilości krajów oświadczono się za nim, niż przeciw niemu i dano mu spokój. Jest to ptak mądry i wie, kogo posądzać o złe względem siebie zamiary: to też przy ludziach, zajętych pracą w polu i na łące, spaceruje bardzo blisko, lecz ruchliwym i hałaśliwym dzieciakom nie pozwoli się podejść; gniazda swego też broni bohatersko.

Z nim razem, a czasem i wcześniej, powraca skowronek, spory rudawo-szary ptaszek, upstrzony brunatno, z długim pazurem na tylnym palcu nogi. Wczesna ta i wesoła ptaszyna ożywia nasze pola swym fletowym śpiewem, płynącym, zda się, z obłoków, gdyż samego śpiewaka, wzbijającego się wciąż pionowo w górę, trudno dojrzeć. Wkróce sporządzi sobie na miedzy lub w łące gniazdo wprost na ziemi, której oraczom przyśpiewuje przy pracy.



Skowronek.

Bagna i błotniste zarośla również wkrótce się ożywią: najpierw powrócą do nich dzikie gęsi, a potem coraz mniejsi i coraz delikatniejsi ich mieszkańcy: różne gatunki kaczek, czajki, bekasy, dubelty, słonki.

Z ptaków, porzucających nas na zimę, wraca ładny kopciuszek, samczyk, ma głowę i pierś popielato-czarne, na środku skrzydeł białawą plamkę, ogonek rdzawego koloru.

Przylatuje zawsze sam, dopiero w parę tygodni po nim przybywają, popielato-szare, samiczki.

(D. c. n.)

POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował J. Szczawiński.

Ciąg dalszy.

Domyśliłem się odrazu, że dostałeś się pan w ręce Allana lub meksykańczyka. Kazałem więc Imowi, aby, dobywszy wszelkich sił, ścigał bandytów i ostrożnie się dowiedział, co się z panem stało. Im spełnił swoje zadanie ze zwykłym sprytem i wróciwszy jeszcze przed nocą, oznajmił, że poznał pana i widział przywiązanego do konia.

Nie było więc ani chwili czasu do stracenia. Ponieważ sam z moimi ludźmi prawdopodobnie nic bym nie mógł wskórać, kazałem cowboyom zaalarmować wszystkich sąsiadów w obrębie pięciu mil. Jako punkt zborny oznaczyliśmy pewne miejsce niedaleko zagrody Allana.

Bardzo chętnie przyszli nam z pomocą, tembardziej, że wszyscy byli zawzięci na tego złoczyńcę. O północy udało nam się osaczyć zagrodę Allana; co dalej było, to już panu wiadome.

Podczas gdy małe towarzystwo wolnym krokiem jechało dalej, fermer rzekł:

— Jeżeli nie jesteście zbyt zmęczeni i nie obawiacie się cokolwiek zboczyć, to pokazałbym wam rzecz godną widzenia w naszej okolicy, cud natury, którego cichy majestat, po tych gwałtownych wzruszeniach, kojąco na nas wpłynie. W każdym razie nie mogą panowie odjechać, nie zobaczywszy naszych olbrzymich drzew.

Przyjaciele chętnie przystali na propozycję i niezmiernie byli zdziwieni, gdy niezadługo ujrzeli wśród wysokich gór lesistą dolinę, której w tym biednym pod względem roślinności kraju, wcale się nie spodziewali.

— Jeszcze przed dwudziestu laty, kiedy się tu osiedliłem — rzekł fermer — las ten był prawie sześć razy większy, niż obecnie i posiadał wtedy kilkaset tych olbrzymich drzew, z których obecnie pozostało zaledwie kilkadziesiąt.

Bezwzględni spekulanci wytępili wszędzie w Stanach Zjednoczonych wspaniałe lasy, nie zadając sobie trudu nowego zalesienia i dopiero w ostatnich czasach wmieszał się rząd, aby choć to małe gniazdko ocalić. Niewiadomo jednak, czy handlarze drzewem nie znajdą jakiegoś środka, aby wyłudzić za marne pieniądze również te ostatnie okazy.

Zbliżając się do lasu, z podziwem przyglądali się olbrzymom, które znajdowały się wśród drzew, a kiedy już byli tuż przed jednym z nich, podziw ich zamienił się w zachwyt.

Jak gładka, harmonijna kolumna wznosił się iglasty olbrzym, dopiero mniej więcej

w połowie odbiegała od pnia pierwsza gałąź. Drzewo to posiadało mało gałęzi, z tego też powodu niewielką koronę.

— Do jakiego gatunku należy ten mamut?—spytał Jan.

— Pan mimowoli dał mu prawdziwą nazwę — odparł fermer — rzeczywiście nazywa się drzewem mamutowem; naukowa nazwa jego jest Sequoja gigantea. Drzewo mamutowe jest nietylko największe z drzew iglastych i wogóle ze wszystkich drzew, lecz i najstarsze.

— Jak się panu zdaje, ile lat już stoi ten olbrzym? – spytał Monsard.

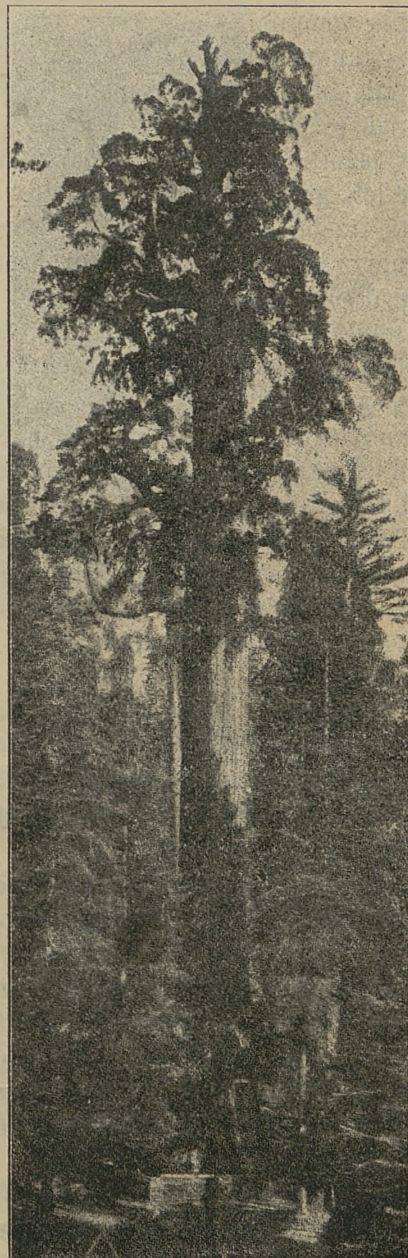
— Do pewnego stopnia da się dopiero dokładnie określić, gdy drzewo jest ścięte i można porachować pierścienie, z których każdy odpowiada rokowi. Nie chcę przesadzać, lecz musi mieć około 1500 lat. Niech pan pomyśli tylko, co znaczy taki wiek! Jakie zmiany zaszły w tym okresie czasu! Całe wieki średnie, rozwój ludzkości od wędrówki narodów aż do wieku technicznych tryumfów, niezliczone wojny, straszne katastrofy — wszystko spoczywa między młodością i starością tego godnego szacunku olbrzyma. Już był staruszkiem, kiedy biali zdobywcy przez wielkie wody przyszli do Ameryki i wyparli czerwonych władców. Jeżeli zbrodniczy topór spekulanta go nie powali, to mógłby jeszcze żyć kilkaset lat, ponieważ jest zupełnie zdrów i jest, jak my mówimy o ludziach—w sile wieku.

* *

*

W kilka godzin po przybyciu do fermy, Jan czuł się zupełnie dobrze, zarówno na duchu, jak i na ciele. Pomimo, że Monsard radził mu jeszcze oszczędzać swe zdrowie, postanowił jednak natychmiast udać się w pogoń za zbiegiem.

— Gonzales bezwątpienia pojechał na stację Williams, a stąd uda się prawdopodobnie do Nowego Orleanu lub też dalej jeszcze, do San-Francisko. Być może,



Amerykańskie drzewo mamutowe przeszło 100 metrów wysokości, mające conajmniej 1500 lat.

że na stacyi dowiemy się coś więcej o nim.

Monsard wahał się, lecz nie mógł pu-

ścić przyjaciela samego, a ponieważ wkrótce odchodził pociąg do Williams, nie zwlekali dłużej.

Fermer zasmucił się szczerze tem prędkiem postanowieniem, ponieważ w krótkim czasie znajomości bardzo polubił swoich gości, jak gdyby już od kilku lat z nimi się przyjaźnił. Nie mógł jednak zatrzymywać ich, gdyż jeżeli pościg miał wogóle sens, to trzeba było działać natychmiast.

Fermer z prawdziwym żalem odprowadził obydwóch na stację Williams.

Naczelnik stacji opowiedział im, że ten sam obcy człowiek, który przybył tutaj w nocy przed kilkoma dniami, zjawił się dziś rano na stacji i południowym expresem odjechał na zachód. Przedtem jeszcze wysłał telegram do Nowego Orleanu.

— Telegram? — spytał Jan niezmiernie zaciekawiony. — Czy nie moglibyśmy zobaczyć oryginału? Jest to niezmiernie ważne dla wyśledzenia przestępcy.

Urzędnik wahał się.

— To wykracza przeciw moim przepisom — odparł. — Panowie wiedzą, że telegramy powinny być zachowane w tajemnicy. Jednak ponieważ znam pana, Mistrzu Wilku, jako człowieka honoru, a ten obcy, jak panowie twierdzą, jest przestępcą, dam panom do przeczytania ów telegram a odpowiedzialność biorę na siebie.

W rzeczywistości to, co przeczytali, miało dla nich doniosłą wartość. Telegram pisany był w hiszpańskim języku do brata Alfonsa, Józefa, mieszkającego w Nowym Orleanie, zawierał, co następuje:

„Zatrzymałem się tutaj, źle się powiodło. Monsard w związku z Polakiem za mną. Jadę do San Francisko. Adres wiadomy. Pilnuj starannie rzeczy aż do mego powrotu. Alfons".

— Doskonale! — zawołał Jan. — Więc model łodzi i rysunki znajdują się u Józefa, lecz bez Alfonsa nic nie wydostaniemy. Nocnym pociągiem jadę do San-Francisko.

— Będę panu towarzyszył — dodał krótko Monsard.

Westchnąwszy. uściskał fermer swych gości raz jeszcze, Jan zaś dziękował mu w serdecznych słowach, za wszystko, co od niego zaznał.

Skromny ten człowiek nie chciał słuchać podziękowań, prosił tylko o obietnicę, że gdy będą kiedy w tym kraju, to go napewno odwiedzą.

— Obiecujemy! — zawołali jednocześnie obaj.

Jeszcze jeden uścisk dłoni, potem fermer odszedł i udał się do swej posiadłości.

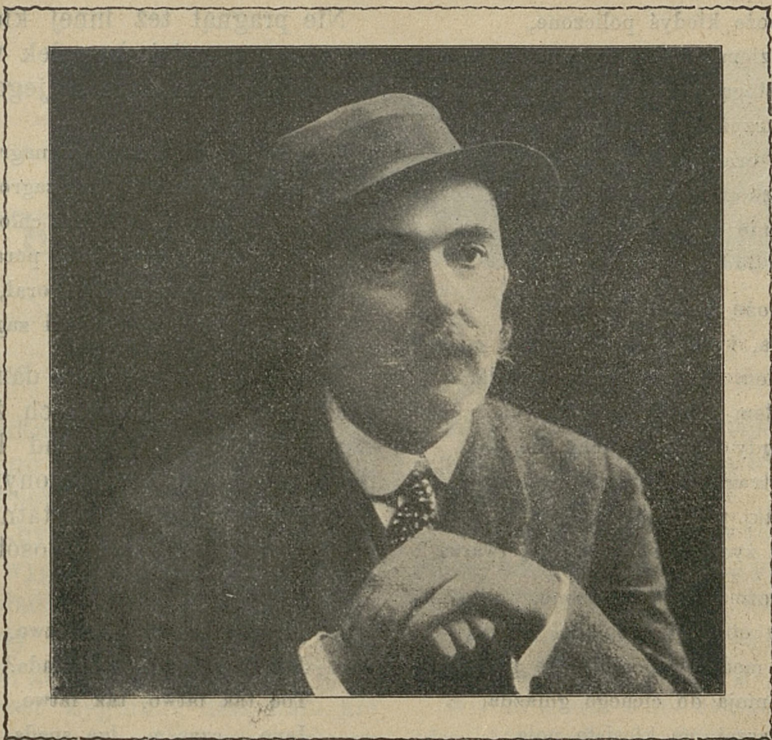
ROZDZIAŁ VIII.

Przygoda w San-Francisko.

Listopadowe słońce przyjemnie grzało nad „Frisko" (zwykła skrócona nazwa w Ameryce San Francisko) i na „złotym zachodzie", śląc z bezchmurnego nieba ciepłe promienie na malowniczo położone miasto, które nadspodziewanie szybko odbudowało się po silnem trzęsieniu ziemi i wielkim pożarze. Na Market Street, prostej jak świeca ulicy, panował teraz w południe zwykły ścisk.

Ludzie pracy śpieszyli na obiad, chłopcy z gazetami starali się przekrzyczeć jeden drugiego, wykrzykując nazwy pism; uliczni handlarze nie mniej hałaśliwi, polecali przeróżne drobiazgi, gdzieniegdzie znów, co jest częstem zjawiskiem w amerykańskiem życiu ulicznem, mówcy ludowi, otoczeni gromadką słuchaczy, starali się zyskać zwolenników dla swych poglądów politycznych czy też religijnych.

D. c. n.



Poezje Ela (Laskowskiego).

Zmarły tak niedawno ś. p. Kazimierz Laskowski zostawił piękną spuściznę poezji, które poznać należy dlatego przedewszystkiem, że El, jak nikt inny może w naszej literaturze, tworzył rzeczy zupełnie swojskie, zupełnie polskie.

W przedmowie do wyboru poezji znany poeta, Kazimierz Tetmajer, tak mówi o zgasłym poecie: „Jest to brat szlachcic taki, jaki był: werwa, rozmach, zamaszystość, łatwy śmiech, łatwa łza, chłopski rozum, miękkość, tkliwość. Kocha swój kraj Laskowski nad wszystko, kocha jego bóle i cierpienia, jego klęski i srogi los, kocha bez krytyki, bez zastrzeżeń, bez urągań, kocha, bo jest syn”.

Poetą wielkiego talentu jest Laskowski. On w swoim rodzaju jest u nas najlepszym, on „pije ze swojej własnej szklanki” w tym gatunku, w którym tworzy najoryginalniej, najsamodzielniej, najróżnoliciej, z największą inspiracją, z najmnieszym wysiłkiem. Talent to wielki i szczery!

Sam Laskowski czuł to, że jest poetą nawskroś swojskim, pisząc:

„Będzie mi może kiedyś policzone,
Żem nigdy w obcą nie pogládał stronę,
Lecz zawsze trwałem temu słońcu bliski,
Co mi w łzach matki błysło u kołyski,
Że mi najdroższe wydzwaniały echa:
Próg mój ojczysty i wieśniacza strzecha
I że dla świata, co był moim światem,
Pragnąłem zostać i czułem się bratem.

Będzie mi może kiedyś policzone,
Żem ku tej ziemi miał oczy wpatrzone,
Że mi się wstęgą w głębi serca wiły:
Przydrożne krzyże, cmentarne mogiły,
Że myśl, jak oracz, szła bruzdami sochy,
Śpiewała prochom i gadała z prochy,
I że innego nie łaknąłem nieba
Prócz swoich ludzi i swojego chleba.

Będzie mi może kiedyś policzone
I za marzenia, i sny niewyśnione,
I to, że miałem nieraz ścieżkę twardą,
I to, że miałem z rodu duszę hardą,
I to, żem nigdy klątwom ucha nie dał,
Że mogłem strwonić, alem nie zaprzedał,
I to, że smutkj trzymając pod strażą,
Chadzałem w życiu z uśmiechniętą twarzą.

Będzie mi może kiedyś policzone,
Żem nigdy w obcą nie poglądał stronę,
Że, jak tych mędrców betlejemska gwiazda,
Mnie wiodła moja do cichego gniazda,
Do tej wsi naszej, na kłosiste pola,
Że mi tu była i dusza! i wola!
Żem ku tej ziemi miał oczy wpatrzone,
Będzie mi może kiedyś policzone".

Istotnie miłość szczera ziemi rodzinnej, wielkie jej ukochanie, które każe zapominać o bólach i cierpieniach życia — prześwieca wszystkie utwory poety, promieniując z nich jasno a silnie. Rzucony falą losu na bruk wielkomiejski, pracując tu bez wytchnienia, gdy tylko się odezwie mową wiązaną, dawne przywiązanie do ziemi, do ludu, wybucha z pod jego pióra z siłą wprost żywiołową: cała dusza poety—to jeden okrzyk miłości i tęsknoty do pól i lasów, słońca i przestrzeni.

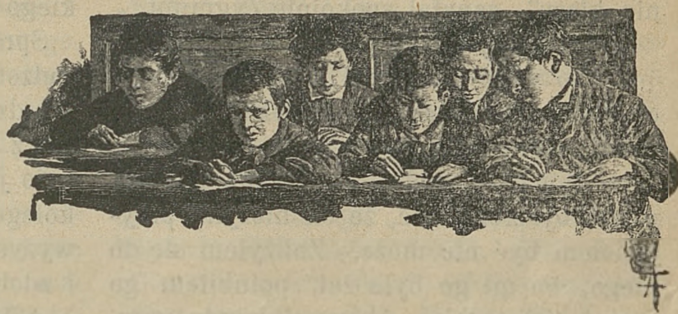
„Ej! dajcież mi kute sanie!
Czwórkę siwych! bicz krakowski!
A nim zorza ranna wstanie—
Wpadnę wichrem do swej wioski!
Będę strzelał! będę hukał
I dawnego szczęścia szukał!"

Nie pragnął też innej kiedyś nagrody za swą pracę, jak kawałek własnej ziemi na starość. Skromne są jego marzenia:

„Gdyby mi też los w nagrodę,
Chociaż chłopską dał zagrodę
Chociaż chłopską dał!
Porałbym się z biedą, porał,
Świętą ziemię płużył, orał,
Swojski zagon siał!"

Nie było jednak mu danem doczekać spełnienia tych skromnych życzeń: mniej szczęśliwy niż Ferdynand Kuraś, chłop-poeta, który został uczczonym przez społeczeństwo zagrodą dostatnią i hołdem najpierwszych w Galicji osób — wywróżył sobie niejako swój los:

„Pytasz, złota ty dziatwo,
Jak to śpiewki się składa?
Toć tak łatwo, tak łatwo,
Jeno... czasem.. łza spada.
. . . .
. . . .
Jeno czasem zaszumi
Jak w tych gruszach nad miedzą...
Ale kto tam zrozumie?
Ludzie patrzą... nie wiedzą...
Dość, by śpiewka dzwoniła
Skoczną nutą od ucha,
Choćby w łzach się rodziła,
Nikt—skąd rodem? nie słucha,
Nikt—co tobie? nie spyta,
Co tam w piersiach ci wichrzy?
Jeno śpiewkę w lot chwyta
Niby ziarnko do śpichrzy;
Jak te kłoski z połanka
Pełną garścią wyzbiera...
Więc brzmi piosnka—kochanka
Chociaż serce zamiera,
Płynie z duszy, by tratwą,
Własnych łez się nie zlęknie!
To tak łatwo, tak łatwo...
Czasem jeno... pierś pęknie!



Marja Buyno.

KOLEDZY.

Ciąg dalszy.

Spoglądali ukradkiem w stronę Zygmunta, chcąc w jego widoku znaleźć ukojenie lecz ten zrównoważony, spokojny zwykle kolega, który był dla całej klasy wyrocznią niemal, wyglądał dziś tak dziwnie: twarz mu pobladła, rozumne, myślące oczy zasłonięte były wciąż powiekami. Koło ust rysował się grymas niepewności i bólu.

— Ah, nawet Zygmunt dziś nam nie pomoże! — przebiegała myśl przez głowy chłopców.

Gdy wreszcie godzinna męczarnia skończyła się, wszyscy tłumnie rzucili się do Zygmunta i zaraz zaczęła się ożywiona dysputa, pełna niepokoju, okrzyków głośnych, ruchów gwałtownych. Niektórzy z chłopców pragnęli siłą wymowy przekonać kolegów, że jednak nic tak złego się nie stało, że w gruncie rzeczy nie zrobili nic nagannego; nie jest ich winą, że jeden się odseparował i nie wiedział o tem, co się dzieje w klasie... ale widać było, że nikogo nie przekonali i sami siebie nawet nie byli pewni.

Ogólną uwagę wszystkich zwróciła obecność Witolda, który przysunął się do rozmawiających i jakkolwiek sam nie brał udziału w rozprawach, pilnie się wszystkiemu przysłuchiwał. Wreszcie, gdy na chwilę zapanowała cisza, odezwał się niespodziewanie:

— Strzembosz wiedział o tem, że klasa nie będzie pisała wypracowania!

Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu raptownie. Westchnienie ulgi wyrwało się z wielu piersi.

— A widzicie? Byłem tego pewny! To marny charakter! Ja zaraz pierwszego dnia, po tej bójce przeczułem, co on wart! A ja po tej sprawie ze składką!—odezwały się ze wszystkich stron głosy.

Witold został wnet otoczony przez chłopców, którzy odczuwali mimowolną wdzięczność do niego za to, że ich wybawił z niemiłej sytuacji. Zarzucano go pytaniami, dowodząc sobie nawzajem:

— On przecież najlepiej wie! przecież on był z nim w przyjaźni,

Jeden tylko Zygmunt milczał i patrzył uważnie, badawczo na Witolda. Rozumny, nad wiek rozwinięty chłopiec, wyczuwał jakiś fałsz w zachowaniu się kolegi.

Tymczasem chłopcy przestali zwracać uwagę na swego prowodyra, który tym razem nie umiał ich wyciągnąć z kłopotliwego położenia i powoli, rozmawiając z Witoldem, zabierali się do wyjścia.

— Zaczekajcie, koledzy! – zawołał nagle donośnym, dźwięcznym głosem Zygmunt.

— To sprawa jeszcze nie wyświetlona. Nie chce mi się wierzyć, żeby Strzembosz świadomie chciał wystąpić wbrew woli całej klasy...

— Jakże?... Przecież mieliśmy tego dowód. No, i Witold mówi...

— Kolego Witoldzie, czy jesteście pew-

ni, że Strzembosz wiedział o postanowieniu klasy?—zapytał spokojnie Zygmunt.

— Ależ najzupełniej!

— To wasz przyjaciel.. Oskarżacie go ciężko... raz nazawsze zamykacie drogę powrotu—do kolegów?

— Mój przyjaciel?! Eh! trzeba go znać nieco, by zrozumieć, że on niczyim przyjacielem być nie może. Zbliżyłem się do niego, bo mi go było żal, polubiłem go nawet, lecz wiem, że on mi nigdy przyjacielem nie był. A zresztą to inna sprawa: gdy chodzi o nas wszystkich, gdy chodzi o sprawiedliwość, nawet najlepszego przyjaciela poświęcić należy!—zawołał z zapałem Witold.

— Brawo! Brawo! — rozległy się głosy. Lecz Zygmunt nie był uspokojony.

— Zdaje mi się jednak, koledzy, że nie jesteśmy w porządku wobec Strzembosza!— szepnął.

— Oh, to już zbytnia drażliwość! Przypomnij sobie jego postępowanie od początku... Nie! Nie! To już taki typ niekoleżeński!—wołali chłopcy, zadowoleni z takiego obrotu rzeczy.

Sprawa Michasia była ostatecznie przesądzona. Zygmunt wrócił do domu z głową dziwnie ciężką, z jakąś goryczą w sercu, z poczuciem niespełnienia czegoś, co było jego obowiązkiem; Witold z garstką kolegów rozprawiał wesoło, starając się wyzyskać sympatyczny dla siebie nastrój i zdobyć pewien wpływ w klasie.

A Michaś, zaledwie skończyła się lekcja, porwał jak szalony swoje książki, siłą przyzwyczajenia tylko ubrał się i wybiegł na ulicę. Nie zauważył przy wejściu do szkoły profesora Molskiego, który wyciągał do niego ręce, nie słyszał jego słów serdecznych:

— Poczekaj, chłopcze! Chcę z tobą pomówić mój przyjacielu!

Nieprzytomny prawie, biegł przed siebie, czując dotkliwy ból w głowie i w oczach, jakby przesuwano przez nie ognisty sztylet.

(D. c. n.).

ś. p. Walery Przyborowski.

Z nielicznej już gromadki starszych pisarzy historycznych śmierć zabrała w dniu 13 b. m. zdolnego i wybitnego pisarza, który pozostawił po sobie znaczną liczbę dzieł, po większej części wartościowych.

Ś. p. Walery Przyborowski urodził się w pięknej ziemi Kieleckiej, w Domaszowicach 1845 r. Po skończeniu nauk w gimnazjum radomskiem i kieleckiem wstąpił na wydział historyczno-filologiczny b. Szko-

ły Głównej; tu go też zastały wypadki 1863 roku, przerywając studja i na czas dłuższy odosobniając go od ruchu umysłowego.

Dopiero w 1869 r. powraca do Warszawy i łączy się z gronem młodych pisarzy, współpracowników „Przeglądu Tygodniowego" i „Opiekuna Domowego". Nie czuł w sobie jednak pociągu do dziennikarstwa, wkrótce też oddał się wyłącznie tworzeniu powieści, z początku społecznych, następnie historycznych, tak dla dorosłych, jak i dla młodzieży.

Długi szereg prac jego rozpoczynają: „Hinda", „Życie za marzenie", „Na mogile", „Na partykularzu", „Bicz korali", „Magdalena". Pierwsze te prace posiadają niejakie wady co do budowy artystycznej; w swoim czasie jednak miały wielkie powodzenie.

Właściwym jednak żywiołem Przyborowskiego była powieść historyczna i pierwsze próby w tym kierunku zdobyły ich autorowi wielki rozgłos dzięki umiejętnie wybranemu, interesującemu tematowi, obrobionemu może niezbyt subtelnie, ale z rozmachem i wyrazistością. Do najlepszych dzieł w tym rodzaju należą: „Arjanie", „Wysokie progi", Rubin wezyrski", „Zajazd o cześnikównę", „Księżniczka z Münsterbergu", „Widmo na Kanonji", „Rycerz Mora" i inne.

Czasy porozbiorowe dostarczyły Przyborowskiemu niewyczerpanego tematu do odtwarzania chwil podniosłych i tragicznych. Z tego okresu powstały powieści: „Bitwa pod Raszynem", „Austrjacy w Warszawie", „Na San Domingo", „Młody konfederat barski", „Było to pod Jeną", „Racławice", „Olszynka grochowska", „Pod Stoczkiem", „Grom maciejowicki", „Reduta Woli", „Berezyna" i inne. Napisał też „Dzieje Polski", które wywołały ostrą krytykę i w następstwie której zostały w powtórnem wydaniu przerobione. Jego prace ściśle historyczne: „Historja dwu lat", „Dzieje 1863 roku", „Przyczyny upadku Polski" są owocem nader mozolnych badań historycznych, wertowania olbrzymiej ilości materjałów i skrzętnego zbierania skąpych nieraz szczegółów.

Od roku 1903 Przyborowski osiadł stale w Radomiu, gdzie w szkole handlowej wykładał literaturę i historję ojczystą; przybywszy do ukochanej Warszawy dla szukania pomocy lekarskiej, zakończył tu pracowite życie, przeszłości kraju swego oddane.

KRONICZKA.

△ Wymienione zostały komunikaty urzędowe między Rosją a Austrją w sprawie rozpuszczenia rezerwistów.

Ogólnie uważane to jest za zapowiedź pokojową. Przynajmniej na czas pewien widmo wojny odsunięte zostało.

△ We Francji zaprowadzono obowiązkową trzyletnią służbę wojskową. Zapał wojenny ludności rośnie tam w sposób niebywały, a wszelkie pogróżki skierowane są przeciw Niemcom.

△ Zachodzi obawa głodu w Galicji. Postanowiono rozpocząć całą serję robót publicznych.

△ Widmo głodu zagraża bliżej nas. Zagląda ono w oczy robotnikom łódzkim, po-

zbawionym pracy, dzięki obecnemu zastojowi; jest ich obecnie już 10,000. Ustanowiono komitet pomocy, składki płyną obficie ze wszystkich stron, lecz jest to kropla w morzu. Może i wy, mili czytelnicy, grosikami swemi przyczynicie się do ulżenia nędzy tych nieszczęśliwych.

△ Dla uczczenia 300-lecia panowania domu Romanowów, ogłoszoną została amnestja, przyczem umorzono znaczną ilość spraw prasowych i politycznych.

△ Zmarł we Włoszech znakomity literat i uczony włoski, Angelo de Gubernatis, wielki przyjaciel Polaków.

△ W całych Prusach uroczyście święcono 100-letnią rocznicę uwolnienia kraju od najścia Napoleona.

△ Na kolei Kaliskiej, pod Ożarowem, dzięki zaprowadzonym tam oszczędnościom, rozbił się pociąg. Zginęło przytem i odniosło rany kilka osób ze służby kolejowej.

△ W Los Angelos uległa ciężkim poranieniom przy wypadku z samochodem znakomita artystka dramatyczna, francuzka, Sara Bernhardt.

△ W Krakowie zmarł ś. p. Wiktor Czermak, profesor Wszechnicy Jagiellońskiej, autor wielu prac z zakresu naszych dziejów.

△ W Chrystjanji zmarł znakomity literat norwegski, Tomasz Krag.

Przysłowia wiosenne.

Kiedy starzec przeżył Marzec, będzie zdrów;
Lecz gdy baba w Maju słaba — pacierz zmów.

— — —

Na świętego Kazimierza
Wyjdzie skowronek z pod perza.

— — —

Na Zwiastowanie, przybywaj bocianie!

— — —

Na świętego Benedyka, gdacze kura i indyka
I gęś z jajem się pomyka.

— — —

Na Zwiastowanie, jeśli mgła w zaranie
Gdy słoneczko wschodzi, bliskiej znak powodzi.

— — —

Gdy Zwiastowanie nadchodzi,
Bocian już po łące brodzi.

— — —

To ostatnie przysłowie możnaby zakwestjonować, gdyż dla pliszki, żywiącej się owadami, braknie jeszcze pożywienia w dniu 9-ym Marca.

Naszym miłym Czytelniczkom i Czytelnikom przesyłamy życzenia Wesołego Alleluja!

Redakcja.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa.** Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3